



BEZPŁATNY KWARTALNIK

NR **1**  
JESIEŃ  
2017





## Szanowni Państwo

Zarząd KOM-EKO S.A. składa Państwu serdeczne podziękowania za lata sumiennej i rzetelnej pracy, zaangażowanie w rozwój naszej Firmy, lojalność i uczciwość. Życzymy by nasza dalsza wspólna praca była dla Państwa źródłem satysfakcji i sukcesów.

Nasze życzenia składamy w szczególności świętującym w pierwszych dziewięciu miesiącach 2017 roku jubileusze:

## 10-lecie

### pracy w KOM-EKO:

Gertruda Hucik, Anna Wójcik, Leszek Adynowski,  
Rafał Bednarczyk, Robert Boczek, Wojciech Dyś,  
Grzegorz Grabowski, Marcin Grzesiak, Krzysztof Janik,  
Marek Karczewski, Mieczysław Klimkiewicz,  
Mirosław Ładosz, Krzysztof Matynkowski,  
Sławomir Matynkowski, Krzysztof Mazurek,  
Mirosław Pawelec, Dariusz Romański,  
Dariusz Rosiński, Robert Sykut,  
Mariusz Walaszek, Paweł Walentynowicz,  
Robert Watras, Krzysztof Wielgus

## 15-lecie

### pracy w KOM-EKO:

Agnieszka Przystupa, Mariusz Rachański

## 20-lecie

### pracy w KOM-EKO:

Zbigniew Chudziak, Andrzej Jankowski,  
Stanisław Kulka, Janusz Omiotek



## Szanowni Czytelnicy!

Oddajemy w Państwa ręce pierwszy numer kwartalnika EKOGadka poświęconego tematom bliskim pracownikom Grupy Kom-Eko, zagadnieniom związanym z czystością i ekologią w Lublinie oraz innych gminach w których prowadzimy działalność. Sądzymy, że tętniący pozytywną energią zespół Kom-Eko oraz spółek zależnych powinien mieć własne pismo, w którym będziemy mogli dzielić się zarówno informacjami zawodowymi jak również sporą dawką ciekawostek z innych sfer życia. Pragniemy również aby pamięć o wspaniałych, pracujących tu ludziach przetrwała.

To kwartalnik w którym z dumą będziemy mogli zaprezentować efekty wspólnego wysiłku, wkładu w rozwój nowoczesnej i dynamicznie rozwijającej się Firmy i postępów w gospodarce odpadami jaką dostrzegamy obecnie i na przełomie minionych kilku lat. Na łamach pisma zabierzemy głos w sprawach ważnych dla naszego otoczenia. Z pasją będziemy poszukiwać ciekawych informacji, którymi podzielimy się w artykułach. Mamy nadzieję, że tematy związane z osobami pracującymi obecnie i w przeszłości z Firmą ożywią wspomnienia i przypadną Państwu do gustu. Ostatnie strony poświęciliśmy rozrywce i Państwa zainteresowaniom, którymi mamy nadzieję podzielicie się z nami.

Zachęcamy do publikacji na łamach EKOGadki własnych tekstów, przepisów kulinarnych, zabawnych anegdot opisujących sytuacje, które wydarzyły się. Dołożymy starań by kolejne numery Ekogadki były chętnie przez Państwa czytane, żeby zawarte tu informacje wzmacniały poczucie więzi i wzajemnej życzliwości. Jesteśmy ciekawi Państwa reakcji na pierwszy numer pisma. Zakładamy, że forma zawartość pisma będzie ewoluowała wraz z kolejnymi numerami.

Redaktorem naczelnym, nadzorującym wydanie i nakład jest doskonale Państwu znany Pan Adam Przystupa. Zakładamy, że nakład pisma pozwoli każdemu na zapoznanie się z treściami w nim zawartymi oraz dla chętnych na aktywny udział we redagowaniu poszczególnych treści.

W celu umożliwienia kontaktu utworzyliśmy skrzynkę mailową: redakcja@ekogadka.pl - prosimy pisać! Z uwagą wsłuchamy się w Państwa sugestie co jeszcze powinno znaleźć się w EKOGadce.

## Zarząd Kom-Eko S.A.

### Moja Mama, mój Tata w pracy konkurs plastyczny dla dzieci pracowników Kom-Eko

Na podpisane prace w formacie A4 złożone w Biurze Obsługi Klienta przy ul. Wojennej czekamy do końca listopada 2017, najlepsze prace zostaną nagrodzone i opublikowane na łamach EKOGadki.

### POLECAMY:

WSPOMNIENIE 10

PIELGRZYMIM  
SZLAKIEM 12

FELIETON 16

ANEGDOTY 24



# Kalendarium Kom-Eko

Minione trzy miesiące to przede wszystkim ogrom codziennej, efektywnej choć nie zawsze efektownej pracy, ale również kilka wartych przypomnienia zdarzeń:

## lipiec – wrzesień 2017

Zakup nowych pojazdów i urządzeń – samochodu bramowego dla Zakładu Wywozu Odpadów oraz samojezdnej zmiatarki i traktora dla Zakładu Oczyszczania.

### 25 lipca 2017

Wizyta w Zakładzie Zagospodarowania Odpadów wicewojewody lubelskiego pana Roberta Gmitruczuka oraz Wojewódzkiego Inspektora Ochrony Środowiska pana Leszka Żelaznego.

### 27 lipca 2017

Wizyta w Zakładzie Zagospodarowania Odpadów delegacji władz samorządowych chorwackiego miasta Split.

## lipiec – sierpień 2017

Zabezpieczamy utrzymanie czystości na imprezach plenerowych na stałe wpisanych w krajobraz kulturalnych Lublina: festiwal „Inne brzmienia”, „Carnaval Sztukmistrzów”, „Jarmark Jagielloński”.

### 1 – 14 sierpnia 2017

Wspieramy uczestników 39 Pieszej Pielgrzymki z Lublina na Jasną Górę dbając o czystość na trasie i miejscach postoju pielgrzymki.

### sierpień 2017

Zabezpieczamy utrzymanie czystości na planie zdjęciowym realizowanego na ulicach Lublina serialu „Wojenne dziewczyny”.

### 2 września 2017

Wizyta przedstawicieli chińskiego biznesu zainteresowanych rozwojem w naszym kraju sektora ochrony środowiska.

### 4 września 2017

Rozpoczęcie we współpracy ze Szkołą Podstawową nr 48 im. Józefa Piłsudskiego w Lublinie pilotażowego programu selektywnej zbiórki odpadów kierowanego dla placówek oświatowych.

### wrzesień 2017

Zakup i montaż nowych urządzeń rozdrabniających na linii sortowniczej odpadów zmieszanych nr 3 Zakładu Zagospodarowania Odpadów.



# STARE ODCHODZI

Już ostatnie śmieciarki Kom-Eko ze starym motywem wizerunkowym z panoramą Lublina i makami zostały oklejone reklamami z nowym przekazem. Przypomnijmy jak wyglądały stare i z dumą pokażemy nowe.



# GOŚCIE, GOŚCIE...

ADAM PRYZSTUPA



Goście z Chorwacji. FOTO: Redakcja

**W** ostatnim czasie firma KOM-EKO miała przyjemność gościć wielu miłych i znamienitych gości. W dniu 25 lipca 2017r. na zaproszenie Wojewódzkiego Inspektora Ochrony Środowiska pana mgr inż. Leszka Żelaznego Zakład Zagospodarowania Odpadów przy ul. Metalurgicznej w Lublinie odwiedził Wicewojewoda Lubelski pan Robert Gmitruczuk. Wizyta była okazją do zapoznania się z potencjałem Regionalnej Instalacji Przetwarzania Odpadów Komunalnych oraz efektami funkcjonowania nowego systemu gospodarki odpadami.

Organizacja zbiórki i przetwarzania odpadów była również przedmiotem zainteresowania delegacji władz samorządowych miasta Split, którą podejmowaliśmy 27 lipca 2017r. Do końca przyszłego roku Republika Chorwacji jest obowiązana wprowadzić zintegrowany system gospodarki odpadami podobnie jak w Polsce oparty o upowszechnienie selektywnej zbiórki i

funkcjonowanie regionalnych centrów zarządzania odpadami.

Równie owocna w wymianę doświadczeń była wizyta w dniu 2 września 2017r. przedstawicieli chińskiego biznesu zainteresowanych rozwojem w naszym kraju sektora ochrony środowiska.



Wizyta Wicewojewody. FOTO: Redakcja

WIEDZY NIGDY ZA WIELE MAŁGORZATA GAJKO

## Nieobecności oraz inne zwolnienia pracownika



**O** niemożności stawienia się do pracy z przyczyn wcześniej znanych pracownik powinien przedzić bezpośredniego przełożonego lub osobę prowadzącą sprawę kadrowe.

W razie niestawienia się do pracy pracownik jest obowiązany powiadomić bezpośrednio przełożonego lub osobę prowadzącą sprawę kadrowe o przyczynie nieobecności i przewidywanym czasie jej trwania już pierwszego dnia nieobecności (telefonicznie, faksem, pocztą elektroniczną) lub nie później niż w dniu następnym osobiście, przez inne osoby lub pocztą. W tym przypadku za datę powiadomienia uważa się datę stempla pocztowego.

Niedotrzymanie powyższego terminu jest usprawiedliwione, jeżeli pracownik ze względu na szczególne okoliczności nie mógł zawiadomić o przyczynie nieobecności.

Pracownik jest zobowiązany usprawiedliwić nieobecność w pracy lub spóźnienie do pracy przedstawiając niezwłocznie bezpośrednio przełożonemu lub osobie prowadzącej sprawę kadrowe przyczyny nieobecności oraz odpowiednie dokumenty.

Pracownikowi przysługuje zwolnienie od pracy z zachowaniem prawa do wynagrodzenie w wymiarze:

- 2 dni – w razie ślubu pracownika, urodzenia się jego dziecka albo zgonu i pogrzebu małżonka pracownika, lub jego dziecka, ojca, matki, ojczyma lub macochy,
- 1 dnia – w razie ślubu dziecka pracownika albo zgonu i pogrzebu jego siostry, brata, teściowej lub teścia, babki,

dziadka, a także innej osoby pozostającej na utrzymaniu pracownika lub pod jego bezpośrednią opieką.

Zwolnienia, wymienione w ust. 1 udzielane są w dniu wystąpienia zdarzenia, ewentualnie w dniach następnym przed lub po zdarzeniu uzasadniającym ich udzielenie, nie później niż w terminie 7 dni od dnia wystąpienia zdarzenia.

Po wykorzystaniu przedmiotowego zwolnienia pracownik obowiązany jest przedstawić odpis skróconego aktu stanu cywilnego, dotyczący zdarzenia uzasadniającego udzielenie zwolnienia.

Jeżeli pracownik korzysta już z jakiegoś zwolnienia od pracy, np. urlopu wypoczynkowego, niezdolności z powodu choroby, to nie przysługują mu zwolnienia okolicznościowe omówione w niniejszym paragrafie.

### Urlop na żądanie

Pracownik może wykorzystać 4 dni urlopu w terminie przez siebie wskazanym, przy czym żądanie pracownika nie musi być wyrażone na piśmie; można je zgłosić ustnie. Nie musi być ono również zgłoszone osobiście pracodawcy, ale także telefonicznie.

W celu wykorzystania urlopu na żądanie Pracownik zgłasza żądanie udzielenia urlopu najpóźniej w dniu rozpoczęcia urlopu, przed rozpoczęciem swojego dnia pracy (przed godziną, od której powinien stawić się na stanowisku według obowiązującego go rozkładu czasu pracy).

# RUSZYŁA SEGREGACJA W SZKOLE

Inicjatywa KOM-EKO jest wstępem do szerszego projektu, którego celem jest wypracowanie modelu edukacji ekologicznej w szkołach.

## ADAM PRYZSTUPA

**W**ychodząc z założenia, że rozpoczęcie nowego roku szkolnego jest najlepszym i właściwym czasem na rozpoczęcie nauki, KOM-EKO S.A. we współpracy ze Szkołą Podstawową nr 48 im. Józefa Piłsudskiego w Lublinie rozpoczyna pilotażowy program selektywnej zbiórki odpadów.

Inicjatywa KOM-EKO jest wstępem do szerszego projektu, którego celem jest wypracowanie modelu edukacji ekologicznej łączącego świadome gospodarowanie odpadami z wysoką efektywnością selektywnej zbiórki odpadów. W naturalny sposób taki zamysł kierowany winien być w pierwszym rzędzie do najmłodszych. Dzięki uprzejmości pani dyrektor Henryki Olszak dzieci i rodziców przybywających w dniu 4 września 2017 r. na uroczystą inaugurację roku szkolnego witały nowe, kolorowe, przyciągające wzrok pojemniki do segregacji odpadów. Szkoła w dzielnicy Hajdów-Zadębie, to szkoła która w ramach swej misji buduje u uczniów nawyki dbałości o zdrowie i środowisko. Nadto placówka nosząca miano ekologicznej objęta jest patronatem firmy KOM-EKO.



FOTO: Redakcja

Rozwój selektywnej zbiórki odpadów jawi się aktualnie jako najważniejszy kierunek rozwoju gospodarki odpadami. Wdrożone w lipcu 2013 roku systemowe zmiany w tej dziedzinie przyniosły przede wszystkim powszechność zorganizowanego odbioru odpadów oraz regionalizację przetwarzania frakcji zmieszanych i zielonych. Czas na krok kolejny – wzrost efektywności mierzonej wzrostem ilości odpadów poddanych procesom odzysku i recyklingu. Nie jest on możliwy bez powszechnego rozwoju selektywnej zbiórki odpadów u źródła. Impulsem prawnym do takich działań jest Rozporządzenie Ministra Środowiska z dn. 29 grudnia 2016 r. w sprawie szczegółowego sposobu selektywnego zbierania wybranych frakcji odpadów (Dz. U. 2017, poz. 19), które określa minimalne wymagania w tym zakresie.

Ich spełnienie oznacza dla Lublina, jak i wielu innych miejscowości w Polsce, odejście od tzw. modelu dwupojemnikowego (zbiórka z podziałem na frakcję suchą i odpady zmieszane) na rzecz nowego modelu wielopojemnikowego. W efekcie jako lokalna społeczność winniśmy spełnić pokładane w nas nadzieje i osiągnąć wymagane prawem poziomy recyklingu odpadów opakowaniowych, określone w roku 2018 na poziomie 30%, w roku 2019 na poziomie 40% i w reszcie w roku 2020 na poziomie 50%. Nie będzie to możliwe bez wsparcia koniecznych inwestycji (KOM-EKO planuje modernizację instalacji do przetwarzania selektywnie zbieranych odpadów opakowaniowych) działaniami edukacyjnymi i informacyjnymi.

Powszechnego wdrożenia nowych rozwiązań w mieście nad Bystrzycą należy się spodziewać w lipcu 2018 roku, tymczasem już dziś proponujemy program pilotażowy, który pomoże

rozpoznać szanse i zagrożenia związane z nowym wyzwaniem jakie staje przed mieszkańcami Lublina. Chcemy skorzystać z naszego doświadczenia. Od jesieni 2010 roku prowadzimy działania edukacyjne w ramach zlokalizowanego przy Zakładzie Zagospodarowania Odpadów przy ul. Metalurgicznej 17a Centrum Edukacyjno-Demonstracyjnego. W tym czasie Centrum gościło kilka tysięcy zwiedzających zainteresowanych ekologią, od przedszkolaków, przez uczniów, studentów po samorządowców. Nie jest nam również obce zagadnienie systemowego wdrażania selektywnej zbiórki odpadów. To właśnie KOM-EKO w 2004 roku w porozumieniu z Gminą Lublin wprowadzało pilotażowy program zbiórki odpadów suchych na terenie Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej.

Do udziału w naszym projekcie planujemy zapraszać kolejne zainteresowane nim placówki oświatowe Lublina.

## SUCHĄ NOGĄ DO SZKOŁY

Czując wagę nadanego nam tytułu „Przyjaciela Szkoły Podstawowej nr 48 im. Józefa Piłsudskiego w Lublinie” postanowiliśmy wspomóc szkolną społeczność. Pracownicy Zakładu Robót Drogowych KOM-EKO na prośbę Pani Dyrektor Henryki Olszak przeprowadzili prace remontowe na terenie położonego w pobliżu szkoły parkingu. Mamy nadzieję, iż w ich efekcie uczniowie i ich rodzice nawet w największą słotę suchą nogą dotrą do szkoły.



FOTO: Redakcja



FOTO: z archiwów prywatnych

28 czerwca 2017 roku na cmentarzu przy ul. Męczenników Majdanka żegnaliśmy naszą koleżankę Bożenę Milanowską. Bożenka pracowała w Kom-Eko w dziale księgowo-finansowym od czerwca 2008 roku do kwietnia 2011 roku.

Mógłbym napisać, iż odeszła od nas w kwiecie wieku po długiej i ciężkiej chorobie. Mógłbym sięgnąć po cytaty z księdza Jana Twardowskiego, ten cytat o naszym zapóźnieniu i potrzebie miłości. I wszystko to byłoby prawdą zamkniętą w typowym nekrologu. Postanowiłem wszakże poprosić koleżanki Bożenki (tak właśnie o niej mówią, nie inaczej) o wspomnienia, by na ich kanwie skreślić słów kilka. A potem zrozumiałem, że nic w nich nie trzeba zmieniać...

**BEATA:** Do Kom-Eko przyszła z przewspaniałą opinią, że jest świetnym fachowcem, wykształcona, przeskolona. I taka była - perfekcyjna, inteligentna, łapała wszystko w lot, raz spojrzęła, raz usłyszała i wiedziała o co chodzi. Była metodyczna. Pamiętam, że gdy siadała do zadania w charakterystyczny sposób pocierała palcami wskazującymi kciuki jakby szykując się do zmierzenia się z zadaniem. Spokój, metodycznie, po kolei. Bożenka kochała muzykę, przynosiła płyty a z współczesnych wykonawców to najbardziej lubiła Red Hot Chili Peppers i R.E.M. Znała ich każdy utwór.

**ANKA:** Była przeszczęśliwa, że trafiła do Kom-Eko. Była szczęśliwa że ma pracę. Ona przyszła miesiąc wcześniej do Kom-Eko niż ja.

Musiałśmy odejść z Elbudu, bo likwidowano firmę. Tam też była atmosfera, co z resztą było widać na pogrzebie Bożenki. Tyle osób przyszło z firmy, mimo że firmy już dziesięć lat nie ma. Przyjechała dla niej nawet koleżanka, która dziś mieszka w Warszawie. Wszyscy wspominając Bożenkę, mówili że była taką osobą, która ostatnią koszulą by się podzieliła, ostatnią kanapką. Dla niej to było absolutnie na porządku dziennym.

**BEATA:** Początkowo odebrałam ją jako osobę bardzo zdystansowaną, zwłaszcza do osób których nie znała. A później przy bliższym poznaniu Bożenka bardzo zyskiwała tą swoją szczerością, bezpośredniością. To taki typ człowieka, o którym mówią że konie można z nim

kraść. Ona była do wszystkiego, do śmiania się, do płakania, do rozmawiania, do słuchania muzyki... Była bardzo wszechstronna. Przez krótki czas siedziałam z nią w jednym pokoju i z nią można było właściwie porozmawiać o wszystkim, na każdy temat. I przede wszystkim miała wiedzę. Na każdy temat potrafiła się sensownie wypowiedzieć...

**GERTA:** Jak tylko do mnie wpadła i coś powiedziała, to zawsze to było do bólu szczerze, do bólu. Jak nie chciała wchodzić w dyskusję to po prostu się wycofywała, ale potem by nie być posądzona że też tak myślała to przychodziła i mówiła np. „nie zgadzam się z tym”. Ja pamiętam ją właśnie jako taką bardzo szczerą, do bólu. Jej dowcip...

**ANKA:** Inteligentne dowcipy...

**GERTA:** Bardzo... Niektórzy ich nie rozumieli...

**BEATA:** Nie rozumieli i czuli się przez to niezręcznie...

**ANKA:** Na przykład jak mówiła „czy głowę ma się tylko aby deszcz nie kapał”.

**BEATA:** Nie, jak ktoś ją zirytował tym, że o czymś nie pomyślał mówiła „po co on głowę nosi, chyba po to by się do środka nie łało”, a kiedy ktoś zrobił coś głupiego, pamiętam - siadała i mówiła tak żartobliwie przeciągle „żenua”.

**ANKA:** Ale zawsze panowała nad sobą i zawsze wiedziała jak się zachować, w każdej sytuacji...

**BEATA:** Trafnie rozpoznawała ludzi, niejednokrotnie jej oceny się sprawdzały, nawet po latach choć czasem wydawało się że Bożenka się myliła.

**ANKA:** Tak, ale nigdy nie wyrażała swojej opinii, jeśli nie była czegoś pewna. Nie plotkowała. Miała czyste zasady a nie spotyka się tego często. Większość ludzi się nie zastanawia jak żyje na co dzień, że komuś może zrobić krzywdę niepotwierdzoną plotką. Bożena nigdy tego nie stosowała, bo wiedziała że nie ma nic gorszego. Od dzieciństwa nie miała też łatwo, także życie ją wiele nauczyło. Jej mama zmarła też jak ona była młodą dziewczyną, a potem taka wielka miłość, a potem nieszczęścia...

**BEATA:** Bożenka była wrażliwą osobą, która trawiła to w sobie. Trzymał ją syn Adaś, miłość jej życia. Ona wiedziała, że cokolwiek by się działo, Adasia musi wychować.

**ANKA:** Ona z nim tak dużo rozmawiała.

Nigdy nie było jakichś wrzasków, tylko siadała, rozmawiała, mówiła, tłumaczyła, dawała przykład. Cierpliwość miała nieskończoną. To samo dotyczyło pracy – jeśli komuś przyszło coś tłumaczyć to zawsze na spokojnie, ze świadomością że trzeba zostać z tą osobą i tłumaczyć dopóki ktoś zrozumie jeżeli jest taka potrzeba.

**BEATA:** Zawsze pielęgnowała pamięć o mężu. Adaś miał roczek, jak umarł ojciec. Tak starała się wychowywać Adasia, żeby o ojcu wiedział jak najwięcej i zawsze o nim pamiętał. Z tego co Ania opowiadała, to Bożenka siadała z synem by mu opowiadać, pokazywać albumy ze zdjęciami

**ANKA:** Tak, myślę że dzięki niej znał swego tatę, tak jakby mu towarzyszył w jego dzieciństwie. Cechował ją szczególny stosunek do ro-



dziny. To jest absolutnie najwyższa wartość jaka może być. Mąż, dzieci – to bardzo pielęgnowała.

**BEATA:** Pamiętam jak dzwoniła do domu do synka, to zawsze mi się podobało jak się do niego zwracała, bo nigdy nie mówiła „słuchaj Adam wstawaj bo już czas do szkoły” tylko tak „Adasiu... Wstawaj... wstawaj, otwieramy oczka...”. On jeszcze tam pewnie leżał w łóżeczku a ona Bożenka zawsze tak samo, takim ciepłym głosem „Adasiu... otwieramy oczka, wstawaj... idziemy do kuchni...” – nie jako nakaz „idź do kuchni!” tylko „Adasiu idziemy do kuchni, tam masz kanapeczki” bo zawsze mu coś naszykowała, a jak był jeszcze mały to oczywiście instruktaż – w co ma się ubrać, co mu gdzie zostawiła... Także Adaś był właściwie całym jej życiem. To była miłość jej życia, i właściwie dla niego żyła.

**ANKA:** Tak, jak już kochała, to była to miłość absolutna.

# PIELGRZYMIM SZLAKIEM

Zowią ich służbą czystości.

Pracy mają dużo. Na każdym postoju.

**ADAM PRZYSTUPA**

**W**yruszają z placu katedralnego w trzeci dzień sierpnia. Trzy kolumny. Łącznie siedemnaście grup. Od dwóch dni w drodze są już dwie kolejne, które swój pielgrzymkowy szlak rozpoczęły spod Kościoła Mariackiego w Chełmie. Spotkają się siódmego sierpnia z wieczora w Szewnej, wiosce od południowego zachodu do Ostrowca Świętokrzyskiego przyległej. Jeszcze spojrzą na zielenią lśniące fantazyjne dachy kościoła św. Michała i ruszą świtem wspólnie na Bieliny, a potem Dyminy, a potem Małogoszcz, i jeszcze Włoszczowa i Stary Koniecpol a za Kusiętami już Jasna Góra. Łatwo napisać – już. Tych, którzy wyruszyli z Lublina czeka blisko 320 kilometrów marszu. Dwanaście dni szczególnych rekolekcji. Trud drogi, w którym radość serca zwykła ujmować zmęczenia ciała. Pewnie za sprawą modlitwy i owych intencji, które każdy ze sobą niesie. Jedni z zadośćuczynieniem za uczynki swoje lub bliskich, inni z wdzięczności. Niosą Pani Jasnogórskiej prośby o zdrowie, o uwolnienie z nałogu, o dobrego męża.

Co roku przed łaskami słynący obraz Matki Boskiej pielgrzymuje w sierpniu przeszło 100 tysięcy pątników. Z Lublina pod przewodnictwem księdza Mirosława Ładniaka wędruje ich ponad dwa tysiące. Rozmodlone, rozśpiewane, uśmiechnięte mrowie. Trud drogi, z którym przychodzi się mierzyć, ale i niemały trud organizatorów, którą dostrzegasz obserwując pracę służb porządkowych. Zabezpieczają ruch kolumny, organizują postoje, pilnują porządku. Pracowite mrówki księdza Konrada Żyśki. Dzień i noc, całe dwa tygodnie dbają by każdy bezpiecznie dotarł do Częstochowy. Wśród pielgrzymkowego taboru, swoistego pospolitego ruszenia, wśród



FOTO: Redakcja

pojazdów opieki medycznej czy zaopatrzenia przemyka skrzyniowy Lublinek. Na niebieskiej plandecie napis Kom-Eko i zapadające w pamięć logo przedstawiające słonia. Owo zwierzę obdarzone ponoć doskonałą pamięcią przypomina pielgrzymom o cnocie czystości. Przypomina i wspomaga choć nie na słoniowym grzbiecie a na barkach pana Zenona i jego syna trud zbiórki odpadów spoczywa.

Jeśli pamięć nie zawodzi od pięciu czy też sześciu lat towarzyszy pielgrzymom. W roku 2010 gdy po raz trzydziesty drugi z Lublina ruszały grupy ku Jasnej Górze, tę piątą ułańską odprowadzał do granic miasta pojazd konny zwykle zbierający śmiecie z bruku Starego Miasta. W kolejnych latach sympatycznego Kasztana zastąpiły mechaniczne konie, w większą siłę zasobne, które nie

do granic Lublina a pod same jasnogórskie wały odprowadzają pątników. Bo pielgrzym choć modlitwą i Słowem Bożym żyje by sił nie postradać jeść musi. Czasy zaś dziś takie, iż gdzie pokarm pożywają tam i śmiecie być muszą.

Zowią ich służbą czystości. Pracy mają dużo. Na każdym postoju rozstawić stojaki na worki – będzie ich koło dwudziestu, a kiedy kolumna ruszy pozbierać śmiecie i wywieźć do miejsca zagospodarowania. Póki kolumny nie oddalą się od Lublina wracają z zebranymi odpadami na macierzysty Zakład Zagospodarowania Odpadów przy ul. Metalurgicznej. Z każdym kolejnym dniem

droga do domu coraz dłuższa, przychodzi więc wywozić śmiecie na instalacje rozrzucone wzdłuż trasy pielgrzymki. Z uśmiechem wspominają ów rok, gdy pierwszy raz towarzyszyli pielgrzymom. Wszystko zrazu wydawało się proste. Przygotowana lista wysypisk, przesympowni, zakładów. Zda się dokładne adresy i dobrodziejstwo satelitarnej nawigacji. Jadą za głosem przewodnika a tam las i koniec utwardzonej drogi. Ni śladu sortowni, ni

nawet wysypiska. Łap tedy w pośpiechu jeszcze raz telefon, wertuj internet, zasięgaj języka wśród miejscowych bo czasu mało. Dziś jadą zaopatrzeni w kontakty na znajomych już sortowniach i składowiskach. Tam pamiętają chłopaków z KOM-EKO, czekają. Bo też pielgrzymka budzi otwartość i serdeczność nie tylko w samych pątnikach, ale rzekłbyś przelewa się na tych, którzy się z nimi stykają. Czasem zjawisko to przyjmuje zgoła nieoczekiwane formy. Razu pewnego jeden z miejscowych, używających miejsce na postój wędrowcom widząc ile trudu wymaga ogarnięcie porządku powiada „Zostawcie, gdzie będziecie jechać, tu gospodarz wszystko spali, albo het do piaskownicy zrzucić można”. Odmówili rzecz jasna tłumacząc, że tak nie wolno, że wstyd, że grzech. Że nie po to tutaj są by śmiecie po dołach

wysypywać, opinię własną, pielgrzymów i firmy szargać. Nie wolno. Każdy zrzut w instalacjach dokumentują i przewodnikowi pielgrzymki potwierdzają.

Ksiądz Mirek Ładniak wiele ma w drodze obowiązków, ale znajduje czas by dopilnować i służbę czystości. Jest poukładany, konsekwentny. Kiedy trzeba to cofnie by poprawić, by gospodarze nie mieli pretensji o zostawiony bałagan. Bo i taka sytuacja zdarzyć się może. A to wiatr powieje i reklamówki po okolicy porozciąga. Kiedyś, będzie pewnie ze dwa lata temu, pielgrzymi narzucali butelek do gospodarza na podwórko. I na drugi rok nie wpuścił do siebie. I trudno mu się dziwić.

Ludzie wszelako są zdyscyplinowani. Poza tą jedną sytuacją, śmiecie na postojach lądują w workach zawieszonych na stojakach. Jako się rzekło stojaków jest około dwudziestu. Worków na pielgrzymkę załoga Kom-Eko zabiera blisko dwa tysiące. Na odpoczynek kolumna staje średnio co pięć kilometrów. Gdy ruszy trzeba pozbierać wszystkie worki i to co wylądowało na ziemi. Sprawdzić, czy teren jest czysty. Na początku samochód napełnia się całe dwa dni. Z każdym kolejnym etapem gdy kolumna rośnie w siłę, gdy pielgrzymie szlaki przecinają się ze sobą pracy jest coraz więcej. Dwa, trzy dni od Częstochowy wysyp trzeba robić codziennie, a nawet częściej. Na czternaście dni owej przygody przypada ostatnio 17-18 wylądunków. Czasem czasu nie staje i naprawdę trzeba się uwijać. Przychodzi wtedy zostawić pomocnika by zebrał stojaki zabrał się z innymi samochodami obsługi w kierunku kolejnego postoju a samemu smarować na wysyp.

I tak dzień w dzień, od piątej do dwudziestej, czy słońce czy słońce. Nawet jeśli pada, pielgrzymka się nie zatrzymuje, idzie, nie odpuszcza. Tak samo i oni, pogoda czy nie teren trzeba przygotować, potem uprzątnąć. Gdy się o tym słyży wszystko wydaje się proste, ale jak w każdej pracy i tu trzeba doświadczenia. Choćby owe postoje. Trzeba wiedzieć jak rozstawić kosze. Gdy doskwiera upał w naturalny sposób wędrowiec szuka cienia, nie postawisz kosza na środku pola choćby na pozór wydawało się, że to najlepsze, najbardziej dostępne miejsce. Właściwe rozstawienie stojaków, to okazuje się połowa roboty przy sprzątnięciu. A tej jest dużo.

Im bliżej Jasnej Góry, im więcej ludzi tym więcej śmieci. We dwóch nie da się rady. Trzeba się posiłkować pomocą porządkowych oni zaś nie odmawiają choć każda ze służb ma swoje obowiązki. Od cze-  
góż megafony. Zaraz sygnał po grupie idzie by każdy nim w drogę ruszy rozejrzał się wokół i śmiecie pozbiarał. Puszki, butelki, wszelkiej maści papierki i woreczki foliowe lądują w workach. Naród niby zakrętki od butelek w różnych szczytnych celach zbiera, ale gros butelek zakręconych worki wypełnia. Pół biedy jak pustą wyrzuci – czasem i pełne na polu

zostają. Słońce sierpniowe tak wodę w butelce zagrzeję, że pić nie sposób. Porzucają ją wtedy nie opróżnioną. I wtedy z pomocą szef służby porządkowej przyszedł. Zebrał wszystkich i począł tłumaczyć jak owe butelki traktować by objętość śmieci zmniejszyć i pustych przebiegów śmieciarką nie robić. Korki odkręcał, butelki w dłoniach zgniatał, wiedzę ekologiczną szerzył.

Jeśli spytać pana Zenka o pielgrzymów odpowie niezmiennie – uprzejmi i uczynni. Podejdą, porozmawiają, kiedy trzeba pomogą. Zdarzyło się, że samochód zawiesił się na konarze. Przy cofaniu tylnym mostem auto się wsparło i nie ruszysz, choćbyś chciał. Koła się ślizgają. Od czego jednak są inne służby. Początkowo był pomysł za linkę podczepić i wyciągnąć, ale nie – krzyknął jeden z porządkowych, za ochotnikami się rozejrzy. Nie minie chwil kilka już idzie dwunastu pielgrzymów. Ochotnie, bo pomoc trzeba. Mówią o takich - chłopy jak dęby. Zaparli się, wynieśli razem z samochodem, nie trzeba było holować.

Innym razem zakopał się Lublinek w piachu. I choć kolumna swym rytmem już kolejne kilometry odmierza sam ze swym problemem nie zostaniesz. Chciałoby się rzec, za starą musicalową piosenką Rodgersa i Hammersteina „nigdy nie będziesz szedł sam”. Co tam, szedł – nigdy sam nie zostaniesz. Szybko wybrany w telefonie numer i krótki sygnał „Siedzę!”. „Już kogoś wysłałam” usłyszą w odpowiedzi by za chwilę uwolnieni ruszyć znów do pracy. Jak tedy z siebie nie dać więcej gdy przyjdzie potrzeba. Ot, na jednym



FOTO: Redakcja

z opuszczonych noclegów zostały bagaże. „Pojedziecie?” spytał ksiądz Mirek. „Pojedziemy, czemu nie”. Z sześćdziesiąt kilometrów gnać przyszło, ale się znalazły. Dobrzy ludzie cały ten czas ich pilnowali i czekali. Dodzwonić się nawet nie mogli, bo w tym akurat miejscu zasięg zwykły się gubić. Ale widać nie tylko Mateńka do której pielgrzymi zmierzają nad nimi czuwała, ale i święty Antoni.

I tak do samej Jasnej Góry, by spod wałów nagłośnienie kolumny zabrać do Lublina. Ten ostatni dzień, już tradycyjnie jeden z nich idzie z pielgrzymami. Znają się przecież. Służba czyścioci sypia zwykle na jednym polu namiotowym razem z pątnikami. Żywią się też jak pielgrzymi. Na początku jest fajnie, bo ludzie dożywają pielgrzymów, ale bliżej Częstochowy, jakieś 150-200 km nie ma dożywiania. Nie z braku gościnności a ze względu na skalę pielgrzymki, która jako się rzekło łączy się kolejnymi grupami, kolumnami. Takiej rzeszy ludzi wykarmić nie sposób. Jest za to w pielgrzymim taborze kuchnia polowa. Mają bigos, mają grochową, same dobre rzeczy. Pamiętają, zaproszą strudzonych na kolację. Potem jeszcze szybko się umyć i spać. Po całym dniu ma człowiek dosyć, ale to tylko chwilowe uczucie. Bo też te dwa tygodnie charakter mają szczególny. Sympatycznie, bez kłótni, bez nerwów, narzekania. Inna rzeczywistość. Odnowa.



SPOŚRÓD NUT WYSORTOWANE ADAM PRZYSTUPA

## ODROBINA SZALEŃSTWA

Sezon weselny w pełni. Sezon, w którym chcąc nie chcąc brzydszej części ludzkiego rodu przychodzi od czasu do czasu odświeżyć pamięć i jeszcze raz spróbować zgrać ruch stóp z taktami melodii. Rzecz jasna, jeśli nie zamyśli w poczuciu odpowiedzialności wesprzeć na swych plecach filarów sali weselnej. Jest bowiem faktem, iż piękniejsza część ludzkości przychodzi na świat z umiejętnością tańca, ta druga zaś by jej towarzyszyć zwykle potrzebuje odnaleźć w sobie odrobinę szaleństwa.

W tej sytuacji nie wiedzieć czemu przygrywające na weselach zespoły miast ośmielać mężczyzn zwykły o szaleństwie przekonywać kobiety. Niesie się tedy po sali owe „jesteś szalona” i... mimo wszystko w przypadku niektórych to działa. Wrażliwi na ów bodziec okazują się gustujący w szybkich rytmach. Tym, którym „podchodzą wolne numery” winno się proponować zgoła inną piosenkę szaleństwem podszytą.

W roku 1961 dwudziestoosmioletni wówczas William Hugh Nelson skrzeszał pod swym piórem niepozorną piosenkę, którą w roboczej wersji zatytułował „Stupid”. Z czasem złagodził ocenę jej bohatera i w miejscu tytułowej głupoty umieścił łaskawie szaleństwo. Szaleństwo, które podmiot liryczny zarzuca sobie dość natrętnie, a my choć nie znamy obiektu jego westchnień

jesteśmy w stanie w uwierzyć gdy śpiewa:

„Oszalałem  
Oszalałem myśląc,  
iż ma miłość mogła  
Cię zatrzymać  
Oszalałem próbując  
Oszalałem płacząc  
Oszalałem Cię  
miłując”

Zdaję sobie sprawę, iż ów fragment tekstu odarty z melodii, nie wygląda okazałe. Złożmy to po części na karb ułomności przekładu. A jednak potencjał w kompozycji Willie Nelsona, która po raz pierwszy ukazała się na jego debiutanckim albumie „And When I Wrote”, dostrzegła królująca ówczas na amerykańskich listach przebojów Patsy Cline. Willie Nelson uznany dziś za ikonę muzyki country, pisał ówczasie piosenki dla innych wykonawców, zaś Cline, która ledwie kilka miesięcy wcześniej podbiła słuchaczy przebojem „I Fall To Pieces” poszukiwała materiału na nowy przebój. Miał jej pomóc wrócić na scenę po wypadku samochodowym, z którego ledwo uszła z życiem. Przyznać trzeba, iż miała Patsy Cline szczęście do piosenek odrzucanych przez innych. Napisane przez Hanka Cochran i Harlana Howarda

„I Fall to Pieces” odrzucił zapomniany dziś Roy Drusky uznając ją za „bardzo kobiecą”. Ten sam argument „niemęskości” podniósł odrzucając balladę Willie Nelsona piosenkarz country Bill Walker. Patsy Cline dostrzegła w „Crazy” coś więcej. Być może traktowała ją jako dopełnienie emocjonalne swego poprzedniego przeboju, w którym śpiewała „Rozpadam się na kawałki za każdym razem kiedy Cię widzę / Rozpadam się na kawałki, jak mogę być tylko twą przyjaciółką?”. Do studia nagraniowego przyjechała o kulach a mocno obite podczas wypadku żebra utrudniały sięganie po wysokie tony, tak charakterystyczne dla Willie Nelsona. W efekcie zaśpiewała zupełnie inaczej i to jej a nie autorska wersja piosenki na zawsze zapisała się w pamięci. To wtedy w aranżacji pojawiło się rozpoznawalne do dziś fortepianowe intro nadające countrowej balladzie jazzowy posmak wypuklony po latach w interpretacji Diany Krall.

Ja oprócz wersji Patsy Cline polecam zwiewne w swym charakterze i wzbogacone o partię saksofonu wykonanie Julio Iglesiasa oraz sceniczne ujęcie piosenki z koncertu fetującego 70 urodziny autora z niezapomnianą kreacją Diany Krall, Elvisa Costello i samego Willie Nelsona

Miłego słuchania...



# W dwudziestoleciu mocno osadzona

Opowieść trzydziesta ósma

Pamiętam, że gdy złożony przeziębieniem spędzałem czas na lekturze książek, jedna z nich sprawiała, iż moja mama z niepokojem raz po raz zaglądała do pokoju. Powtarzające się napady śmiechu wobec trawiącej mnie gorączki mogły budzić niepokój. Oznaki wesołości zaś leżały się na ustach niemal z każdą przeczytaną stroną. Do owej książki od tamtej pory wracałem po wielokroć i o dziwo, objawy nie zwykły ustępować. Trudno rzec, by z wiekiem się nasilały. Może dziś śmieję się trochę ciszej, ale owo radosne natężenie dźwięków odnajduję w reakcjach mego synka, któremu jako się rzekło zwykłem czytać z wieczora.

Owa książka to w istocie jakby powiedzieli literaturoznawcy dylogia, czyli cykl dwóch powieści Stefana Wiecheckiego „Cafe pod Minogą” i „Maniuś Kitajec i jego ferajna”. Wielu z nich, na wspomnienie autora skrzywiłoby się pewnie z niesmakiem, bo Stefan Wiechecki w swym pisarskim rzemiośle miał akademicką polszczyzną posługiwał się charakterystycznym warszawskim dialektem. Wygasła już dziś gwara stolicy z charakterystycznym zwyczajem obdarzania rzeczowników końcówką „ak” – stąd charakterystyczny „schaboszczak”, ale i zadomowiony powszechnie „dzieciak” czy „warszawiak”. Z tą szczególną wymową, w której królują głoski „kie”, „gie”, ale i twarde „ly” za sprawą którego zwykły „list” staje się „lystem”. Z owymi poetyckimi, zbudowanymi na kontrastach porównaniami czyniącymi z warszawskiej gwary mowę potoczystą, wiązaną. W interpretacji Wiecha, który twórczo mieszał gwary poszczególnych dzielnic ze sposobem mówienia właściwym różnym zawodom nawet złorzeczenia zyskują szczególny urok. Nigdy tedy nie mogła mi imponować

podwórkowa łacina z jej wiecznym prymitywnym zwątpieniem w kobiecą konduite.

Urodzony w 1896 roku w stolicy nasiąkał Stefan ową gwarą niemal od urodzenia. Gdy ukończył półtora roku rodzina Wiecheckich przeprowadziła się z domu przy ul. Wolskiej do czynszowej kamienicy przy Wielkiej, której dziś próżno szukać na mapie Warszawy. Tam jak wyznawał w spisanych przeszło siedemdziesiąt lat później wspomnieniach „pierwszym wykładowcą nadwiślańskiego dialektu” był dozorca zwany Wickiem Pijusem – „Przez owego Wicusia, jak pseudonim wskazuje, znajdującego się przeważnie na tak zwanym gazomierzu, poznałem tajniki warszawskiej mowy wiązanej”. Kolejna przeprowadzka zawiodła młodziutkiego Stefana w okolicę słynnego targowiska na placu Kercelego – „Na tym wielkim placu, pełnym bud, budek, straganów, klatek z gołębiami i stoisk z psami, przysłuchując się rozmowom handlowców z kupującymi, poznawałem tajniki i niuanse tej szemranej mowy. Bo na Kercelaku, oprócz wymiany drobnotowarowej odbywało się coś jeszcze. Gwary poszczególnych dzielnic Warszawy zlewały się w jeden dialekt warszawski, który mnie tak zafrapował swoją oryginalnością i celnością, że już w szkole zacząłem nim pisać ćwiczenia z języka polskiego”. Miał w tym względzie Stefan Wiechecki słuch absolutny, który sprawił, iż po latach felietony pisane warszawską gwarą stały się jego znakiem firmowym. Z właściwym sobie poczuciem humoru, twórczo korzystał z zasobu barwnego języka dokumentując życie stolicy z urodą równą pracom Canaletta czy Franciszka Kostrzewskiego. Nieprzypadkowo Julian Tuwim miał nazwać Wiecha „Homerem warszawskiej ulicy”. Wirtuozeria i warsztat pisarski Wiecheckiego

sprawiają, iż z niesmakiem przyjmujemy wszelkie próby naśladownictwa uznając je za z góry skazane na niepowodzenie. Zwykło się z resztą mawiać, iż ktoś „mówi Wiechem”, choć gwoli sprawiedliwości przyznać należy iż sam Stefan Wiechecki – ponoć czarujący w obyciu i obdarzony doskonałą dykcją na co dzień posługiwał się czystą, literacką polszczyzną.

Tą samą warszawską gwarą snuje Wiechecki opowieść, która niezmiennie krzesze na mych ustach uśmiech. Choćby wtedy gdy pan Celestyn Konfiteor, sąsiad Konstantego Aniołka szefującego „restauracji III kategorii z wyszynkiem napojów alkoholowych” o wdzięcznej nazwie „Cafe pod Minogą” tłumaczy się ze swych rozterek na polu gościnności Jumbo Johnsonowi – amerykańskiemu koledze warszawskich szoferów, którego zaproszono na uroczystość zaręczyn wychowanicy gospodarza.

„ – W nieutulonym żalu pozostaje się cała rodzina Aniołków, a także samo i ja, sąsiad przez ścianę, żeśmy małpy nie mogli dla pana szanownego przygotować albo chociaż papugi po polsku z nadzieniem. Małpy nie można było dostać, papugie co prawda mamy w klatce na bufecie, ale w charakterze rozrywki umysłowej i twarda by była, bo sztuka jest wiekowa, jeszcze za ojca pana Aniołka jeden kataryniarz ją tu przepił. Z drugiej znowuż strony przykro nam jest, bo wiemy, że dzięki faceci inszy smak mają aniżeli naturalne.”

Ku zaskoczeniu mieszkańca Zapiecka „Murzyn spowaźniał, błysnął zębami i odpowiedział porywczo: – Z kogo że pan tu humorystyczną drakie odstawiasz, panie szanowny, jaki że ja dzik jestem, o wiele dwadzieścia pięć lat w Warszawie mieszkam. Małpy ani papugi cholery za żadne pieniądze do ust bym nie wziął, formalną zakąską tak jak i pan się posługuję”.

Przeczytawszy ów fragment, budzi się w nas naturalna wątpliwość – zali ta sytuacja mogła się kiedykolwiek wydarzyć? Odpowiedź znajdujemy niespodziewanie we wspomnieniach Stefana Wiecheckiego.

„Murzyn Jumbo, jeden z bohaterów tej powieści, był postacią podpatrzoną z życia. Kiedyś dawno przed wojną na rogu Żłotej i Zielnej, spotkałem dziwną parę. Ona mała pulchna blondynka, on wysoki barczysty Murzyn. Teraz taki widok nie stanowi żadnej sensacji, wówczas budził ogromne zainteresowanie. Murzyna mieliśmy w Warszawie tylko jednego, co najwyżej dwóch. Para spotkana przeze mnie była najwyraźniej pokłócona, on szedł z ponuro opuszczoną głową, a ona miała do niego tak zwaną mowę. Wreszcie Murzyn zatrzymał się i zawołał:

– A dajże ty mnie, do wielkiej cholery, spokój!

Było to powiedziane najczystsza warszawską polszczyzną z wyraźnym akcentem z okolic Kercelaka.”

Mylił się mistrz warszawskiego felietonu. Zasiadali jak słysząc nad Wisłą Afrykańczyk nie był ówczesnym jedynym na ulicach stolicy. Sięgam po artykuł Krzysztofa Wittelsa „Afrykańczycy w Warszawie między wojnami” stanowiący jeden z rozdziałów zajmującego opracowania „Afryka w Warszawie”. Jego lektura skłania mnie do wniosku, iż bohater, wokół którego losów zawiązuje się akcja

„Cafe pod Minogą” zrodził się z gęstwy wspomnień i skojarzeń dotyczących kilku osób.

Oto w przedwojennej Fabryce Przetworów Chemicznych „Dobrolin” słynnej m.in. z produkcji past do butów pracował afrykański szofer. Nad Wisłę miał trafić z Paryża, gdzie pracę zaproponował mu właściciel firmy „Dobrolin” Ferdynand Adolf Pal goszczący w stolicy Francji w roku 1927 na wystawie przemysłowej. To chyba dobry trop zważywszy, iż zaprzyjaźnieni szoferzy zwali przemierzającego Warszawę Packardem

„  
Ona mała  
pulchna  
blondynka, on  
wysoki barczysty  
Murzyn.  
Teraz taki widok  
nie stanowi  
żadnej sensacji,  
wówczas  
budził ogromne  
zainteresowanie.

Johnsona „Szuwaksem”, choć znajdują się i tacy, którzy owo przezwisko wywodzą będą nie tyle od samego produktu, co od jego czarnej barwy. Cóż, kształt oczu innego z bohaterów skłaniał samego Jumbo Johnsona by zwać go Kitajcem, a jeszcze innego z powodu sprawniejszej lewej dłoni, równie zgrubnie Szmaję. Wedle zachowanych przekazów szofer „Dobrolinu” zwać się miał Diak, co raz kolejny może świadczyć o tym jak igrać z nami pamięć i wyobraźnia. Oto w „Kurierze Warszawskim” z 25 czerwca 1939 roku ukazał się reportaż o Józefie Diaku portierze witającym gości w modnej stołecznej kawiarni. Józef to rzecz jasna efekt powszechnego wówczas zwyczaju spolszczania wszelkich obcojęzycznych imion i nazw geograficznych (z resztą Jumbo Johnson w drugiej części wspomianej powieści w latach powojennych będzie posługiwać się imieniem Jan). Ów mężczyzna o – jak pisano – płomiennie lśniących oczach i przystojnej, bardzo dobroniusznej twarzy nosił zapewne uprzednio imię

Joseph, zwłaszcza iż jak sam przyznawał pochodził z Sudanu, który pozostawał w tym czasie brytyjskim kondominium. Stamtąd też, a nie z Francji przybył dziecięcym będąc do Polski jako służący rosyjskiego hrabiego. Tu pozostał, doczekał odzyskania przez Polskę niepodległości a następnie bronił jej podczas wojny polsko-bolszewickiej służąc jako ochotnik w 12 Eskadrze Wywiadowczej stacjonującej najpierw na lotnisku mokotowskim w Warszawie a później przypisanej do Wilanowa. W roli ordynansa wspomagał go tam z resztą jeszcze jeden zapomniany dziś żołnierz o afrykańskich korzeniach, o czym świadczą kilka zachowanych fotografii.



Nowożeńcy Józef Diak i Emma Dreher, lata 30-te. Ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego.

Mam pewną trudność chcąc rozwikłać pochodzenie mojego bohatera jednocześnie nie zdradzając szczegółów fabuły. A nuż, ktoś z czytających te słowa sięgnie po powieść Wiecha by przegnać błakające się smuteczki. Dość powiedzieć, iż zaskakującym splotem okoliczności, by nie nazwać tego losu zrzędzeniem, wbrew własnej woli chcąc ratować życie został Jumbo zmuszony do występów artystycznej w warszawskiej „Adrii”. Stało się tak gdyż „Szef gestapo, o którego cała sprawa się oparła, przestudiowaśy odpowiednie dzieła rasistowskie i poradziwszy się telefonicznie Berlina, doszedł do wniosku, że jeden Murzyn w prowincjonalnym mieście Guberni Generalnej nie przedstawia zbyt

wielkiego niebezpieczeństwa dla czystości rasy wielkich Niemiec, i kazał go wypuścić”. Został więc amerykański szofer wbrew sobie atrakcją „Adrii”. Przed wojną „przedsiębiorstwo kawiarniano-dancingowo-kabaretowe”, które stworzył Franciszek Moszkowicz nie miało sobie równych. Powiadano, iż urządzenie lokalu w podziemiach i części parterowej gmachu Włoskiego Towarzystwa Ubezpieczeń Riunione Adriatica di Sicurta przy Moniuszki 10 (dziś Moniuszki 8) kosztowało około miliona ówczesnych złotych. Suma zawrotna biorąc pod uwagę, iż ówczesnie Prezydent Rzeczypospolitej zarabiał miesięcznie około 5 tysięcy złotych. Skromne architektonicznie wejście ozdobione ponoć najpiękniejszym wówczas w stolicy neonem prowadziło przez kryształowe drzwi do obszernego przeszklonego hallu, który łączył się z salą kawiarni przeznaczoną dla 300 osób i tzw. amerykańskim barem w stylu Bauhaus. Część sali kawiarnianej stylizowana była na przeszklone patio i zyskała nazwę ogrodu zimowego pełnego kwitnących kwiatów i egzotycznych ptaków. Legendą obrosła sala taneczna i tzw. złoty bar położone w podziemiach budynku. Droga doń wiodła przez słynne obszerne, metalowe schody, nowatorsko zawieszane bez oparcia jedynie na poręczy. Schody słynne za sprawą częstego gościa „Adrii” generała Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego, który w przypiływie humoru rzekł do swych towarzyszy opuszczających lokal „Żarty się skończyły, zaczynają się schody”. W imponującej sali dancingowej gdzie parkiet wyłożony był płytami gumowymi przygotowanymi przez włoską firmę Pirelli wirowano przy dźwiękach muzyki serwowanej przez trzy orkiestry. Z batutą stawali tu Jerzy Petersburski twórca takich szlagierów „Tango Milonga” czy „Ta ostatnia niedziela” i autor „Jesiennych róż” Artur Gold, tu czarowała śpiewem Hanka Ordonówna. Tu na parkiecie wirującym na podobieństwo płyty gramofonowej bawiła się nie tylko elita – wedle branżowego pisma „Polski Przemysł Restauracyjny” od dnia otwarcia w lutym 1931 roku do października roku 1933 „Adrię” odwiedziło 2 miliony 515 tys. gości. Gros z nich rzecz jasna kawiarnię i ogród zimowy.

Kiedy los skierował do kawiarni przy Moniuszki Jumbo Johnsona był to już lokal przeznaczony tylko dla Niemców. Nie żył już też jego pomysłodawca i właściciel, który jeszcze przed śmiercią

zyskując zasłużoną sławę i dozoną wdzięczność bywalców zdążył wydać dyspozycję o zniszczeniu posiadanych weksli i wyrównaniu długów gości z jego własnego konta. W „Adrii” gdzie zaglądali niemieccy żołnierze jadący na front wschodni miał Jumbo za sprawą swych tanecznych uzdolnień pełnić rolę egzotycznej ciekawostki. Zda się echem występów dziewiętnastowiecznych minstreli, które wykreowały stereotypową i karykaturalną postać Murzyna Jima Crowa, odgrywaną przez białych wykonawców przecierających sobie lica korkiem.

Podążając estradowym śladem odnajdziemy w przedwojennej Warszawie Sama Salvano, który grał na perkusji w zespole „Karasiński & Jazz Kataszek – Tango Orchestra”. Band Zygmunta Karasińskiego i Szymona Kataszka w latach dwudziestych ubiegłego stulecia bawił publiczność teatrów rewiowych muzyką o istic nowoorleańskim sznycie. Dziś jest uznawany za pierwszą polską orkiestrę jazzową, która za sprawą prezentowanego poziomu – malutki fragment ich umiejętności uwieczniono w komedii „Każdemu wolno kochać” – koncertowała również za granicą, by wspomnieć dobrze przyjęte tournée po krajach Bliskiego Wschodu z własną rewią Złoty Jazz. Wątpiącym, którzy początki polskiego jazzu wiążą z latami pięćdziesiątymi i Krzysztofem Komedą przytoczę za Krzysztofem Karpińskim autorem opracowania „Był jazz. Krzyk jazz-bandu w międzywojennej Polsce” opinię Cole’a Portera, który odwiedzając Kraków we wrześniu 1937 roku miał okazję wysłuchać swojej kompozycji „I’ve Got You Under My Skin” (młodzi czytelnicy mogą ją pamiętać z wykonania duetu Frank Sinatra – Bono) zagranej przez zespół Adiego Rosnera, co skłoniło go by w liście do przyjaciela napisać, iż zespół Rosnera to najbardziej swingująca orkiestra, jaką słyszał w Europie. Trzy lata wcześniej Adolf Rosner (późniejszy więzień Gułagu i autor melodii nieśmiertelnej „Cichej wody”) stanął we Włoszech do słynnego pojedynku na trąbki z samym Louistem Armstrongiem. Choć zwyciężył wielki „Satchmo” otrzymał odeń złotą trąbkę i fotografię mistrza z dedykacją „Białemu Louisowi Armstrongowi od czarnego Adiego Rosnera”.

Piszę to wszystko by uświadomić, iż ów Sam Salvano nie trafił do przedwojennej Warszawy



Śmieciarka Mercedes w Warszawie 1937 r. Ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego.

jak na muzyczną pustynię, na której błyszczał jedynie dzięki swemu egzotycznemu pochodzeniu. Skąd przybył? Cytowany tu już wcześniej Józef Diak określa go jako Kongijczyka, choć istnieje też wersja, iż w istocie był z pochodzenia Arabem. Dla nas istotniejsze jest, iż wraz z „Karasiński & Jazz Kataszek – Tango Orchestra” grał w 1931 roku na otwarciu...„Adrii”.

Bliższy postaci Jumbo Johnsona, ze względu na amerykańskie pochodzenie był urodzony w Filadelfii Harry Hamilton. Obdarzony barytonowym głosem śpiewak trafił do Warszawy z Paryża i tu już pozostał zauroczony towarzyszącą mu podczas występów na scenie blond tancerką. Jak relacjonowała małżonka w reportażu opublikowanym w czerwcu 1939 roku w „Kurierze Warszawskim”: „Od razu zwrócił uwagę na mnie, chociaż nas aż pięć było. Jeszcze do mnie słowem nie przemówił, bo i nie umiał po polsku, a już dowiedział się jak się nazywam i napisał piosenkę „Wanda” i tak wzruszająco śpiewał! Jak

ze mną mówił, to wyszukiwał sobie w słowniku słowa i tak jakoś porozumieliśmy się. I pewnego dnia poszukał, poszukał w słowniku i powiedział: „ślub”. No i pobraliśmy się. Co kłopotu z tym ślubem było”. Mieszkał Hamilton z małżonką u teściów na ul. Browarnej chwając sobie życie na Powiślu. Akceptowany przez sąsiadów nie był bynajmniej osobą anonimową – odnajduję informację iż maju 1939 roku występował w kawiarni Cafe Bodo, zaś „Gazeta Lwowska” z 11 stycznia 1939 roku anonsuje jego występ w Teatrze Wielkim wraz z Chórem Juranda.

Najsłynniejszy czarnoskóry muzyk przedwojennej Warszawy August Agbola O’Brown grywał w lokalu Caveau Caucasiem w budynku Filharmonii znanym powszechnie jako „Ziemiańska”. Do Polski przybył w 1922 roku z Nigerii (choć w relacjach z głośnego procesu mjr Jerzego Stawińskiego, gdzie występował jako świadek określany jest jako Somalijczyk), poprzez Anglię i Wolne Miasto Gdański. Był poliglota – znał

pięć języków, żył z grania na perkusji, choć jeśli wierzyć pierwszej małżonce nim zjechał do Warszawy w Krakowie popisywał się również tańcem. Ich rozstanie stało się w 1932 roku kanwą dla sensacyjnych artykułów w „Tajnym Detektywie”. W historii stolicy zapisał się jako jedyny czarnoskóry powstaniec. Jeszcze we wrześniu 1939 roku brał czynny udział w obronie miasta, potem handlując sprzętem elektrycznym kolportował prasę podziemną. Wybuch powstania zastał go w Śródmieściu. Posługując się pseudonimem Ali walczył w batalionie „Iwo” na terenie Śródmieścia Południowego w rejonie ulic Wspólnej, Wilczej, Marszałkowskiej i Hożej. I tu znów wracamy na karty „Cafe pod Minogą” gdzie Jumbo Johnson walczy na powstańczych barykadach Starego Miasta.

Napisałem, iż nie jest mą intencją odkrywać fabułę powieści Wiecha. Jeden banalny szczegół wszakże zdradzę bo ucieka on uwadze czytelników. Nie byłoby pełnych humoru i zwrotów akcji przygód bohaterów gdyby nie kolizja pewnego pojazdu z koszem na śmiecie.

W pierwszym ujęciu przypomnianej tu przedwojennej komedii „Każdemu wolno kochać” z 1933 roku zachował się dla potomnych widok podwórka powiślańskiej kamiennicy z charakterystyczną drewnianą skrzynią zamykaną kłapą. Tak wyglądał ówczesny pojemnik, z którego gromadzone tygodniami śmiecie wybierano zwykle łopatą czy widłami (na przedmieściach i po wsiach miejsce skrzyń często zajmowały kopane w ziemi doły). Siłą rzeczy w zasadzie nigdy nie sposób było opróżnić go do czysta, co nie pozostawało bez wpływu na komfort życia mieszkańców okolicznych domostw. Powoli, zwłaszcza w miastach, wchodziły do użycia 100-120 litrowe pojemniki z blachy cynkowej, które królować będą przez następnych 60 lat. Zygmunt Rudolf w referacie „Usuwanie śmieci w miastach”, który w 1933 roku na konferencji w Bratysławie wygłaszał jako znaczących wytwórców owych metalowych kubłów wskazywał firmę „Stephan, Frölich i Klüpfel” z Piotrowic Śląskich, ale można też znaleźć informację, iż pod koniec lat dwudziestych miasto Poznań 8 tysięcy sztuk takich śmietników zamówiło w zakładach w Tczewie. Biedny Jumbo w sierpniu 1939 roku uderzył zapewne w taki właśnie metalowy pojemnik z okrągłą kłapą.

W jaki sposób opróżniano wtedy pojemniki? W pierwszej kolejności rzecz należy, iż obowiązywał system jednopojemnikowy bez podziału na frakcje, choć z zaciekawieniem spoglądano na praktykowany już wtedy z Stanach Zjednoczonych system dwu- a nawet trójdzielny, w którym selektywnie zbierano popiół, odpadki kuchenne oraz pozostałe odpady zwane popularnie rupieciami. Tak, tak, słownictwo używane wówczas, szyk zdań mocno odbiegały od sztamowych, na poły encyklopedycznych a przez to na poły niezrozumiałych żargonów. Autorzy interpelacji sejmowej kierowanej do Ministra Zdrowia Publicznego i spraw wojskowych w sprawie konieczności podjęcia działań mających na celu oczyszczenie Krakowa z zalegających odpadów pisali doń w 1919 roku tymi słowami: „na ulicach i placach tego starego grodu polskiego mnóstwo błota, śmieci i innych nieczystości, co nie tylko nadaje temu miastu, starej stolicy Polski, wobec licznych misji zagranicznych wygląd wielce niekulturalny, na który Kraków nie zasłużył, ale nadto zagraża w wysokim stopniu zdrowiu publicznemu”. Zachowana do dziś inna interpelacja sejmowa z 8 kwietnia 1919 roku przynosi prośbę o pilną pomoc w oczyszczeniu ulic i zaułków Lwowa, gdyż „w mieście obłożonym przez Niemców i Ukraińców nagromadziło się tyle nieczystości, że z nastaniem wiosny grozi miastu wróg niebezpieczniejszy od Ukraińców i bolszewików, mianowicie epidemia, która może pochłonąć tysiące ofiar nie tylko z pośród mieszkańców, ale także z pośród naszego wojska”. Posłowie Związku Ludowo-Narodowego zwracają w nim uwagę, na brak koni, które wraz z wozami zostały w listopadzie 1918r. zrabowane przez Ukraińców, zaś konie prywatne i fakerskie wyginęły w czasie oblężenia miasta z braku paszy.

Bo też właśnie konie u progu odzyskanej niepodległości stanowiły o sile zastępów zmagających się z odbiorem nieczystości. Stąd w zakładach oczyszczania obok warsztatów ślusarskich musiały funkcjonować zapomniane już dziś warsztaty stolarskie, rymarskie czy szewskie. Z czasem na ulicach polskich miast, siół i miasteczek zaczęły pojawiać się pierwsze śmieciarki na podwoziach samochodów, których głównym atutem była bezpylna, przyjazna dla otoczenia konstrukcja i większa pojemność. O ile na wóz

ciągnięty przez konie ładowano zwykle od 3 do 5 m<sup>3</sup> odpadów, pojazdy przyjmowały ówczasnie do swego wnętrza około 11 m<sup>3</sup> śmieci. Ręczna forma załadunku wciąż pozostawała niezmienna, bowiem używane do dziś automatyczne wywrotnice to wynalazek, który po raz pierwszy zagościł w śmieciarkach stosowanych za oceanem tuż przed wybuchem II wojny światowej.

Przedwojenna Polska nie mogła rzecz jasna równać się na polu rozwoju motoryzacji ze Stanami Zjednoczonymi, gdzie w 1926 roku po drogach poruszało się 22 mln samochodów, co oznaczało iż na jeden pojazd przypadało 5,4 mieszkańców. W tym samym czasie w II Rzeczypospolitej jedno auto przypadało na około 1800 naszych rodaków. Co prawda do roku 1937 liczba samochodów na polskich drogach wzrosła 2,5 krotnie, ale nie na tyle by budziła zdziwienie struktura taboru ówczesnych firm wywożących odpady. Wedle ustaleń zespołu, który przygotował w listopadzie 2004 roku „Raport o stratach wojennych Warszawy” utracony w czasie wojny tabor stołecznego Zakładu Oczyszczania Miasta składał się z 11 samochodów specjalistycznych (jak się domyślamy – śmieciarek) marki Mercedes, Magirus i Henschel, 60 samochodów ciężarowych Polski Fiat i Chevrolet oraz 70 wozów konnych. Miłośników motoryzacji zwykł najbardziej intrygować ów Mercedes zachowany do dziś na starych fotografiach. Na ciężkim podwoziu modelu L8500 widać nowoczesną na owe czasy zabudowę bębnową i owo wysunięte daleko poza oś przednich kół dwubryłowe nadwozie, które rzeczywiście mogło sprawiać, iż jak można przeczytać zwano ów pojazd „prosiakiem”. Fascynujące są tajemnice języka i naszej świadomości, bo przecież wątpić należy by przedwojenni warszawiacy mieli, świadomość, iż drzewiej to właśnie pospolite świnie błakając się po ulicach miast oczyszczały je żywiąc się odpadkami.

Przemykały tedy owe wozy konne, śmieciarki i zwykle ciężarówki tak jak dziś od podwórka do podwórka, od śmietnika do śmietnika. I tak jak dziś łądowały w nich śmieci z opróżnianych pojemników, choć nie zawsze w identyczny sposób. Kiedy w 1927 roku w Poznaniu organizowano nowy system zbiórki odpadów oparto się na rozwiązaniach brytyjskich. Oznaczało to cykliczny odbiór odpadów dwa razy w tygodniu

w tzw. systemie wymiany polegającym na odbiorze pełnych pojemników z odpadami i pozostawieniu w ich miejsce pustych pojemników. Ślad owego zapomnianego dziś systemu odnajdujemy dziś w obsłudze kontenerowej, gdzie duże kontenery o pojemnościach od 7 do 34 m<sup>3</sup> wymieniane są u klientów w systemie rotacyjnym przy pomocy samochodów z dźwignikami hakowymi. Zainteresowanie władarzy Poznania angielskimi rozwiązaniami w dziedzinie gospodarki odpadami znalazło swój wyraz w podjętej w 1925 roku decyzji o budowie spalarni śmieci. Wedle zachowanych dokumentów magistrat zdecydował się wybudować „zużytkownię śmieci” w Szelażu w Poznaniu – bo tak zwano ówczasnie tę instalację – „powodując się podniesieniem miejskich warunków zdrowotnych, „wyzyskaniem bliskich terenów (obecnych śmietników) pod rozbudowę miasta” oraz licząc na „wyzyskanie gospodarczo-handlowych wartości cieplnych i gospodarczych”. Cóż kryło się za tym ostatnim uzasadnieniem? W zakładzie o planowanej przepustowości 10 ton/h dowożone odpady podlegały segregacji w celu wydzielenia metali, szkła, szmat, kości i innych surowców posiadających wartość handlową. Ze spalania pozostałych śmieci uzyskiwano energię elektryczną (zakładano, iż 1 kg śmieci dostarczy 1 kg pary względnie 0,1 kW energii elektrycznej), zaś stanowiący odpad poprodukcyjny żużel poddawano przetworzeniu w tzw. „żużlowni”. Dokumentacja projektowa zakładała przetworzenie 2 ton żużla w ciągu 8 godzinnego dnia pracy w 3840 cegieł porowatych lub 320 płyt chodnikowych o rozmiarach 600 mm x 600 mm. Nie była to jedyna spalarnia w ówczesnej Polsce. Warto pamiętać, iż w Warszawie przy ul. Spokojnej 15 zakład termicznie utylizujący odpady funkcjonował od 1912 roku i spalał rocznie przeszło 7 000 ton śmieci rocznie.

Powyższy opis nowoczesnych instalacji przetwarzających odpady nie zmienia faktu, iż ówczasnie gros z nich łądowało na wysypiskach. Lokalizowano je poza miastami na polach, bagniskach czy gliniankach jako terenach nie możliwych wedle prawa budowlanego do wykorzystania pod zabudowę. Nie miały one rzecz jasna takiej formy jak dzisiejsze składowiska, aczkolwiek z uciążliwością dla otoczenia próbowano sobie radzić polewając złożone śmiecie mlekiem wapiennym i stosowaniem warstw

przekładkowych z piachu lub żużla wielkopieczowego. Wszystko to jakby znajome, jakby dopiero co widziane. Łącznie z ludźmi jeszcze kilka lat temu przeszukującymi wysypiska, których tak w czerwcu 1937 roku w reportażu „Gdynia na co dzień” zamieszczonym w Wiadomościach Literackich opisywał prozaik Zbigniew Uniłowski:

„Wolniutko jedziemy w kierunku Witomina. [...]Widzimy kręcących się po lesie nędzarzy, wyczekująco zapatrzonych. Na widok ciężarówki ożywiają się, dają sobie znaki, nakrzykują wzburzeni. Ale wóz mija ich obojętnie, i siedzący w nim robotnik spogląda w niebo. Wówczas biegną, na przemian wściekle i żałośnie pokrzykując. Niektórzy trzymają w torebkach nadpsute pomarańcze, niesamowicie żółcące się w tym głuchym lesie. Ciężarówka zasypuje ich kłębem kurzu i pędzi dalej. Z daleka widać bramę, przed nią wyczekujący tłum. Na widok ciężarówki czają się jakby do skoku. Wśród wycia i przekleństw ciężarówka mija bramę, opadnięta zgrają gramolącą się do środka. Walka jest nierówna, dozorujący robotnik usuwa się w kąt, a z platformy wystrzela na ziemię pomarańczowy łup. Tutaj wre zacięta walka, ludzie wydzierają sobie zgniłe owoce, ślizgają się w kwaśno cuchnącej mazi. Zwolna cichnie awantura, obdartusy mijają nas z okrzykami tryumfu. Przystajemy w pewnej odległości od terenu śmietniska miejskiego, zawałonego stosami zgniłych pomarańczy. Ciężarówka pozbyła się już ładunku i ociekając zielonkawym sokiem, wolno zawraca po nowy transport. Nie pomaga oblewanie zepsutych owoców żrącymi płynami, wapnem czy karbolem. W zagajniku, tuż obok śmietniska, czają się nędzarze aby w nocy grzebać w odpadkach, kraść glebie ożywczy kompost, na którym miał wyrosnąć chleb nie dla nich przeznaczony.”

Nie bez przyczyny w reportażu pojawia się ów kompost. Odpady postrzegano wówczas jako źródło substancji nawozowych nie dość wykorzystywanych w rolnictwie. Nie powinno nas to dziwić zważywszy na to, iż strukturze śmieci przeważała organika i frakcja popiołowa. Stąd naśladując procesy kompostowania praktykowane na polskiej wsi od niepamiętnych czasów początkowo śmieci układano w stosach, które polewano gnojowicą i przerzucano widłami. W latach 1928-1929 tę prymitywną w istocie metodę

próbowano rozwinąć w Polsce prowadząc badania nad przetwarzaniem odpadów sposobem Beccariego. Dr Giovanni Beccari opatentował w 1922 roku we Florencji własną metodą fermentacji śmieci w zamkniętych komorach z cegły lub betonu wyposażonych w perforowane płyty podłogowe, pod którymi biegły kanały napowietrzające i odprowadzające odcieki. Wypisz wymaluj dzisiejsze instalacje stanowiące biologiczną część MBP.

I oto znów na mych ustach błąka się uśmiech bo jeszcze raz dałem się ponieść gonitwie skojarzeń. Lata dwudzieste, lata trzydzieste jak chce piosenka wróciły raz kolejny. Czas gdy pojemniki na śmieci zwano blaszankami, na podajniki przenoszące śmieci w spalarni mówiono tragarze a ich prędkość zwano chyżością. Nie piosenką, nie sukni szelestem, ale jednak...



## Adam Przystupa

Autor Felietonów, Dyrektor ds. Środowiska i Relacji Zewnętrznych Kom-Eko, jest wnikliwym, pełnym humoru obserwatorem rzeczywistości.

Kochający życie rodzinne, dużą i małą Ojczyznę, Człowiek o ogromnej kulturze osobistej, miłośnik historii, dobrej literatury i muzyki Knopflera, zaangażowany w działania ekologiczne w Lublinie.

więcej felietonów  
Adama Przystupy  
można przeczytać  
na stronie  
[www.kom-eko.lublin.pl/  
felietony](http://www.kom-eko.lublin.pl/felietony)



## Zdarzyło się naprawdę

### Jeszcze nie cmentarz...

Ciężki jest żywot debiutanta. Zwłaszcza na stanowisku dyspozytora, który osiąść musi trudną sztukę znajomości topografii miasta, każdego dnia czuwać nad koordynacją pracy licznej grupy pojazdów odbierających odpady a nadto cechować się opanowaniem i anielską cierpliwością. Zaskoczyć nieopierzonego dyspozytora może zarówno zgłoszenie klienta jaki i nieoczekiwane pytanie kierowcy. Tym razem los chciał by tak szybko jak to tylko możliwe ustalić coś z Administracją Cmentarzy Komunalnych zarządzanych ówczesznie przez KOM-EKO. Zda się nic prostszego jak sięgnąć po telefon i wybrać właściwy numer. Czas naglił. Dyspozytor przebiegł wzrokiem po wiszącym na ścianie spisie telefonów i sięgnął po słuchawkę. Za chwilę pytał nieco drżącym głosem:

- Dzień dobry. Tu dyspozytor KOM-EKO. Czy to cmentarz... ?

Po chwili ciszy, w słuchawce dało się słyszeć spokojny głos prezesa Wojciech Lutka:

- Jeszcze nie cmentarz, panie Krzysztofie, jeszcze nie cmentarz...

Do dziś nie wiadomo, czy telefon na biurku prezesa odezwał się za sprawą pośpiechu młodego dyspozytora czy telefonicznego chochlika.

### Pudełko po butach.

W Biurze Obsługi Klienta nikogo nie dziwi fala telefonów w poniedziałkowe przedpołudnie. Po weekendzie kto żyw śpieszy by wyjawic swe życzenie, a każdy kto odbiera telefon zyskuje szansę by wcielić się w spełniającego je dzina czy złotą rybkę. Tym razem poprzeczka została ustawiona wysoko. Mocno zdenerwowany kobiecy głos prosił o pomoc. Oto na progu nowej drogi życia zaginęły pieniądze sprezentowane na weselu młodej parze. Liczne koperty i ślubne karnety wypełnione banknotami złożone zostały w jednym z równie licznych pudełek po prezentach i tam pozostawały bezpieczne aż do poniedziałku. Czas upojnej zabawy, który niepostrzeżenie minął, ma to do siebie, iż w przypadku niektórych przynosi o świcie nieodpartą chęć czynienia porządków. W tym przypadku panna młoda nakazała swemu ukochanemu posprzątać poweselny bałagan. Wśród wyrzuconych do pojemnika na frakcję suchą pudełek musiało znaleźć się to z pieniędzmi.

Sygnal z Biura Obsługi Klienta błyskawicznie został wysłany do dyspozytora, który namierzył śmieciarkę zmierzającą z odpadami do Zakładu Zagospodarowania Odpadów przy ul. Metalurgicznej w Lublinie. Śmieci nie trafiły więc jeszcze na linię sortowniczą. Ucieszona informacją świeżo upieczona małżonka zobowiązała się wysłać na sortownię swego męża by własnoręcznie odszukał zagubione pudełko z pieniędzmi.

Nasz klient, nasz pan. Kiedy śmieciarka przekroczyła bramę Zakładu, po zważeniu została odstawiona na parking. Wszyscy w napięciu oczekiwali na pojawienia się pechowego młodzieńca. I wtedy... ponownie zadzwonił telefon. Pieniądze odnalazły się w domu nowożeńców. Śmieciarkę można było wreszcie rozładować a na sortownię i do Biuro Obsługa Klienta powrócił spokój. Ufamy, że z czasem stał się on udziałem pana młodego...



## Przepis na „tera misiu”

Poniższy przepis na „tera misiu” dostosowany jest do zasobów lodówki, spiżarni i ogródka w momencie gdy dopadnie nas ochota na coś słodkiego.

### Składniki:

- Biszkopty okrągłe
- Napar mocnej kawy
- 2 kubeczki śmietany 30% (2 x 340 ml)
- 2 opakowania śmietan-fixu
- 3 łyżki cukru
- Cukier lub aromat waniliowy
- 1 opakowanie serka mascarpone
- 1 duże opakowanie „Delicji”
- Sezonowe owoce

### Wykonanie:


Na dno kamionkowego lub szklanego naczynia (uwaga! - nie do blaszki) wyłożyć biszkopty nasączone w kawie. Ubić 1 śmietanę z 2 łyżkami cukru i wanilią, na koniec dodając serek mascarpone. Uzyskaną masę śmietanowo - serową wykładamy na biszkopty, na niej zaś układamy „Delicje”. Na warstwę „Delicji” układamy masę, którą przygotowujemy z drugiej śmietany ubitej z 1 łyżką cukru i śmietan-fixami. Całość dekorujemy z fantazją sezonowymi owocami (najlepiej różnymi) i listkami mięty.

Po przygotowaniu deser należy włożyć do lodówki. Na talerzyki „tera misiu” nakładamy łyżką lub dużą łyżką, bo kroić naszego dzieła raczej się nie uda. Zresztą, kto by szedł z nożem na „misia”.

Podane ilości składników wystarczą na jedną porcję, ale ja zrobiłam dwie i to była dobra decyzja, bo „tera misiu” zostało pochłonięte przez domowników w trybie natychmiastowym.

**Życzę wspaniałych doznań smakowych!**

FOTO: z archiwów prywatnych

POJAZD KONNY		DBA O ŚRODOWISKO	PIERWSZY DŹWIĘK	6	JEST DOBRZE NASZE MIASTO	NA ... MARKA TELEFONU	ODPAD BUDOWLANY
ODZYSK MA ROGI	1						
			OSADA				
			SER		10		12
JEDZIE DO TYŁU				2	PATRZĄC Z ...		
W ŁAZIENCE	3				CZĘŚĆ STRZAŁY	7	
MRUCZY				SZNUR			... WOJENNY
				8	FACEC	POLE	
						SŁUP	
OKREŚLA CIĘŻAR							
OGRANICZENIE				5	ZEZNANIE ROCZNE		11
				INTERWAŁ MUZYCZNY			
4							
PIERWSZA KOBIETA	MATERIAŁ NA WORKI	9			SIEĆ LOKALNA		13

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----

Pierwsze 10 osób, które prześlą nam e-mailem prawidłowe hasło ułożone z liter z ponumerowanych pól, otrzymają nagrodę.

**EKO GADKA NR 1 - JESIEŃ 2017**

bezpłatny kwartalnik

**Wydawca, adres redakcji:**  
KOM-EKO S.A.  
20-424 Lublin, ul. Wojenna 3  
tel. 81 748 86 52  
redakcja@ekogadka.pl  
www.ekogadka.pl

**Redaktor naczelny:**  
Adam Przystupa  
**Wydano w Lublinie**  
dn. 04.11.2017 r.  
**Skład i druk:** ANSZA.pl  
Nakład: 350 egz.

© Wszelkie prawa do opublikowanych tekstów, zdjęć i grafik są zastrzeżone, przedruk tylko za zgodą redakcji. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam z zastrzeżeniem art. 36 ust. 4 prawa prasowego. Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i zmiany artykułów, nadesłanych tekstów i odmowy ich publikacji. Opublikowane artykuły nie muszą odzwierciedlać poglądów wydawcy i redakcji.



Oferujemy w sprzedaży produkowany przez nas HUMUKOM – organiczny środek poprawiający właściwości gleby. Jest przeznaczony do stosowania na wszystkich glebach do przygotowywania stanowisk pod uprawy polowe roślin rolniczych. HUMUKOM jest źródłem substancji organicznej i składników pokarmowych. Szczególnie polecany jest do stosowania na zdegradowanych gruntach rolniczych, wyczerpanych z potasu, o niskiej zawartości substancji organicznej.

HUMUKOM oferujemy w opakowaniach 7,5 i 3,5 kg netto. To doskonały środek, który przyda się miłośnikom przydomowych ogródków kwiatowych i warzywnych, działek, roślin balkonowych i doniczkowych. Do nabycia w Biurze Obsługi Klienta Kom-Eko w Lublinie, ul. Wojenna 3.



REKLAMA

## FOTOREPORTAŻ

